Cena 6 mk.

№ 10. Warszawa, 16 maja 1920 roku. Rok I.

TYDZIEŃ POLSKI

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY
wychodzi w sobotę.
Adres Redakcji: Warszawa. Nowy Świat 22.

JAN KUCHARZEWSKI.

Potrzeba programu demokratycznego.

Polska musi wytworzyć wielkie państwo; jeśli tego uczynić nie zdoła, nie będzie panią swego własnego losu.

To państwo tworzyć ma, oczywiście, nie drogą zaboru, lecz na tradycyjnej drodze unji z ościennymi ludami, dla wspólnej obrony i wspólnej pracy w imię ideałów cywilizacji i postępu: wolni z wolnymi, równi z równymi.

Polska powinna, wchodząc dziś na nowo do rodziny wolnych narodów ziemi, wnieść, jako ideę, przez nią reprezentowaną, federalizm. Tę ideę wolnego związku narodów Polska powinna podjąć i w Lidze narodów i na bliższej arenie—w stosunkach z sąsiednimi ludami. Myśl federacji powinna przenikać do wiadomości każdego obywatela Polski, związek bowiem narodów wtedy jest trwały, gdy nie ogranicza się do układu, przez dyplomatów i zawodowych polityków przy zielonym stole zawartego, lecz gdy staje się programem narodowym. Jak Joe Chamberlain mówił do Anglików: uczcie się myśleć i czuć imperjalistycznie, tak my powinniśmy mówić do rodaków: uczcie się myśleć i czuć federalistycznie.

Polska jest stworzona na to, by podjąć ideę federalizmu w Europie. Stany Zjednoczone, Anglja stosują ją poza Europą. Francja, Włochy są to państwa jednonarodowe w Europie. Austrja upadła, nie zdoławszy ziścić myśli federacji. Niemcy są, jak dotąd, organicznie niezdolni do związku wolnego z obcymi narodami, mają oni nieprzepartą dążność do narzucania krajom, w których się znajdą, własnych urządzeń, własnych metod, własnego języka. Jedynie Szwajcarja jest wzorowym krajem federacji w Europie. Lecz Szwajcarja jest państwem małem, o wyjątkowych zresztą warunkach, ludność jej to niejako jeden parojęzyczny naród.

W sprawie związku ludów Europy wschodniej, jako rywal Polski, stanąć może jedynie Rosja. Wprawdzie, kilka wieków historji świadczą o dążeniach zaborczych Rosji względem obcych narodów; dążności te posiada i Rosja dzisiejsza, posiadać będzie i jutrzejsza*). Lecz Rosja z tradycyjną umiejętnością potrafi złudzić świat frazesem federalistycznym, tak samo jak niejednokrotnie już posługiwała się hasłami liberalizmu i demokracji. Jak Katarzyna łudziła swym liberalizmem Voltaire'a, jak Potemkinowskie wioski zaimprowizowane świadczyć miały przed Józefem II o kulturze Rosji, jak Proudhon podziwiał liberalizm Rosjan za Aleksandra II, tak i rewolucjoniści rosyjscy przekonywać będą świat o swych dążeniach wyzwoleńczych i przeciwstawiać je widmu imperjalizmu polskiego.

Polska powinna orzec się wyraźnie za niepodległością tych ludów, które Rosja trzymała w swem jarzmie, a to nawet niezależnie od tego, czy dojdzie obecnie do skutku unia tych ludów z Polską, czuwając wszelako nad przyznaniem Polsce tych terytorjów, które jej się słusznie należą. W szczególności orzec się należy za niepodległością Ukrainy. Nie mamy

---

*) Odmienny pogląd na przyszłą Rosję i jej stosunek do Polski znajdzie czytelnik w artykule Al. Lednickiego: „Nasza polityka wschodnia“ w № 9 „Tygodnia Polskiego“. *(Przyp. Red.).*

żadnego prawa wypowiadać się przeciwko tej niepodległości; wypowiadanie się przeciwko niej jest jednoznaczne z niepojętem u Polaka dążeniem do odbudowania wielkiej Rosji. Powtarzano sofizmat, iż niepodległość Ukrainy jest to idea niemiecka. Cóż to ma oznaczać? Jeśli to, iż Niemcy żywiły nadzieję utworzenia Ukrainy, jako swego sojusznika, to wszak Niemcy żywiły nadzieję utworzenia całego szeregu państw i państewek na Wschodzie Europy pod swym patronatem, lecz czyż ta okoliczność miałaby dziś przemawiać za wcieleniem tych państw do Rosji? Ideą niemiecką, wymierzoną przeciwko Polsce, jest dziś odbudowanie wielkiej Rosji, gdyż ta Rosja, zagrażając Polsce nad Bugiem, zagarnąwszy Galicję Wschodnią, przykuwała by uwagę i siłę Polski do napierającego na jej szczupłe terytorjum sąsiada wschodniego i odciągałaby jej siły od granicy niemieckiej, zbliżając do siebie, w groźny dla Polski sposób, Niemcy i Rosję.

Jeśli Polska nie chce zostać odosobniona i spotwarzona przed światem, powinna nawiązać bliższe, niż dotychczas, stosunki z demokracjami Zachodu. Sojuszowi rządów winien towarzyszyć sojusz narodów. Wiadomo, jak liczne siły pracują na Zachodzie nad tem, by dążenia narodu polskiego w fałszywem przedstawić świetle i jak słaba była dotychczas nasza obrona. Z chwilą odzyskania niepodległości, wzmógł się respekt dla Polski na Zachodzie, jako dla siły, lecz wzmogła się i tradycyjna przeciwko Polsce kalumnia, wiodąca ród z dawnych, płatnych przez Prusy i Rosję pamfletów, a oskarżająca naród polski o wstecznictwo, szlachetczyznę, zaborczość, nietolerancję. Od czasu, jak straciliśmy sami aureolę męczeństwa, która zresztą, oprócz płonnych westchnień nad nami, nic nam nie przyniosła, całe zastępy ludzi na Zachodzie w dobrej nieraz wierze litują się nad ciemiężoną przez nas rzekomo ludnością ruską, litewską, żydowską, a już nawet czasami brana jest w obronę i ludność niemiecka przed naszą groźną zaborczością.

Dyplomacja nasza stara się pewnie prostować te sądy, lecz żadna dyplomacja urzędowa, obarczona pracami zawodowemi, nie podoła zadaniu propagandy. Dodajmy do tego, że dyplomacja nasza dla wielu względów rekrutowana była głównie ze sfer, które z natury swej nie są przystosowane do nawiązania stosunków z demokracjami Zachodu. Zadaniem demokracji bynajmniej nie jest odsuwanie ludzi, zaliczanych do tak zwanej arystokracji, od służby narodowej. Przeciwnie, demokracja nie zna ani przywileju, ani anatemy dla żadnej warstwy. Z powodu braku, podobno, znaczniejszego u nas zastępu ludzi, obznajmionych z Zachodem, władających dobrze obcemi językami, wypadło powołać do służby zagranicznej większą ilość, niż by stosunkowo należało, ludzi uprzywilejowanego stanowiska towarzyskiego, którzy dzięki swej fortunie i stosunkom znali obce kraje. Przypuszczamy, że ludzie ci spełniają należycie swe obowiązki zawodowe, atoli doświadczenie i obserwacja przekonywują, że obecność ich na Zachodzie nie wystarcza do nawiązania stosunków z demokracjami Zachodu i do przedstawienia przed Europą Polski, jako państwa demokratycznego. Demokracja polska powinna zadzierżgnąć węzły obcowania z Zachodem, wymiany myśli i dążeń w dziedzinie międzynarodowo-politycznej, socjalnej, naukowej, piśmienniczej, drogą zakładania stowarzyszeń międzynarodowych, urządzania zjazdów, zakładania pism, wydawnictw; bez współdziałania, bez inicjatywy nawet społeczeństwa rząd nie wiele tu zdziałać może, inteligencja demokratyczna jest tu powołana do spełnienia swej roli na pożytek narodu.

Są u nas ludzie i obozy, które pretendują do szczególnego uzdolnienia, a nawet i uprawnienia do utrzymywania stosunków z Zachodem. Śmiesznem jest mówienie o monopolu tam, gdzie chodzi o spełnienie obowiązku narodowego, który spoczywa na wszystkich obywatelach, a przedewszystkiem na tych, którzy się z niego wywiązać potrafią.

Kto chce być w stosunkach z demokracjami Zachodu, powinien być u siebie w kraju demokratą. To jest główne kryterjum uzdolnienia w tej mierze: hic Rhodus, hic salta. W przeciwnym razie, ludzie Zachodu, pomimo najgorętszych zapewnień o sympatji dla ich krajów, dość prędko orjentują się i czasem wyciągają niesłuszne wnioski o naszym narodzie, na podstawie tych jednostronnych wrażeń. Prowadzenie polityki demokratycznej na terenie międzynarodowym czy w stosunkach z sąsiednimi ludami jest możliwe tylko przy rozwoju demokracji w stosunkach naszych wewnętrznych. Instytucje państwowe to tylko jedna strona zagadnienia, drugą stanowi duch, który przenikać powinien obywateli. Demokracja stać się powinna odruchem, instynktem Polaka, tak jak się to dzieje w starych demokracjach Zachodu.

Weźmy Szwajcarję, tu demokracja przeniknęła głęboko duszę narodu. Naprzód więc znamieniem jej jest poszanowanie człowieka, niezależnie od stanowiska, pochodzenia i fortuny. Niema demokracji bez poszanowania człowieka. Śmiesznem byłoby mówienie o demokracji w Rosji porewolucyjnej, gdzie człowiek nadal jest niczem. życie ludzkie fraszką, a obywatelami uprzywilejowanymi są ci, którzy przysięgają ślepo na dzisiejszą doktrynę i dyktaturę, zupełnie tak samo jak do niedawna uchodził tam za przestępcę każdy, kto krytykował dogmat i praktyki caratu.

Istotą demokracji jest dalej poczucie ścisłego związku między dobrem jednostki a dobrem ogółu, poczucie to stanowi podstawę ideologiczną obywatelstwa w demokracjach. Podstawę codzienną, praktyczną stanowi obowiązek obywatelski, spełniany samorzutnie, odruchowo, bez wahania, przechodzący w krew i instynkty człowieka. Dobro państwa wymaga ofiary z mienia, a gdy trzeba i z życia, wymaga posłuszeństwa prawu, i obywatel składa te ofiary bez szemrania. Ten patrjotyzm nie szermujący przy lada okazji frazesem i nie potrząsający pióropuszem, utajony, przysłoniony pozornie

troskami codziennego życia, występuje w całej pełni w chwilach niebezpieczeństwa narodowego.

Pozostanie na zawsze pamiętną dla tych, którzy na początku wojny w Szwajcarji się znaleźli, chwila ogłoszenia tam mobilizacji. Szwajcarja pogrążona była w głębokim pokoju, gdy w tem wybuchnęła wielka wojna. Przyszła złowróżbna wieść o inwazji niemieckiej do neutralnej Belgji. Szwajcarja drgnęła, ogłoszono mobilizację. Szwajcar spokojnie, niefrasobliwie, niechełpliwie, bez fanfar i bez lamentu, przywdział mundur, u broił się i podążył na granicę. Nikt nie mógł ręczyć za to, iż płomień wojny ominie Szwajcarję; z początku z trzech stron, a następnie z czterech otoczona była przez państwa walczące. Obywatelski odruch obrony wolnej, spokojnej ojczyzny miał w sobie moc elektryzującą; magnetyczny prąd, jaki przebiegł Szwajcarję, przeszedł i przez dusze cudzoziemców. Szwajcarom, dążącym nad granicę, nie przyszła chyba nawet do głowy myśl, aby to przymus zewnętrzny, obawa kary za dezerterstwo pędziły ich do szeregu. To głos wewnętrzny ich powoływał. Szwajcar nie mógłby spokojnie spać, uprawiać swej winnicy, prowadzić swego handlu, gdyby pod jakim pozorem uchylił się od wojska, skoro los na niego wypadł. Wówczas bowiem, wśród niemilknących pogłosek o możliwości pogwałcenia neutralności szwajcarskiej, dręczyła by go myśl o tej zagrożonej granicy, na której jest jedno miejsce, gdzie on stać powinien. I gdyby tak inni, jak on, poszukali wymówek i nie spełnili obowiązku, cóż wówczas! W praktycznym, napozór oziębłym Szwajcarze budził się nigdy nie wygasły duch tych wojowników, którzy krwią swoją spoili Szwajcarję, bohaterów z pod Sempach i Morgarten. Każdy z nich był także takim samym, pracowitym, dobrodusznym, a zaciętym, zamiłowanym w wolności swej ojczyzny Szwajcarem, w którym w chwili niebezpieczeństwa wolnej ojczyzny budzi się bohater. Demokracja rodzi od wieków taką ludność, spokojną i pracowitą w pokoju, nieustraszoną w chwilach groźnych.

Cechami demokracji zachodnich są dalej powszechna oświata, solidarność i spójność społeczna, wreszcie uczciwość urzędów publicznych. Wysoko rozwinięte poczucie obywatelskie, kontrola narodu nad urzędnikami głuszą i tępią korupcję, gdy ta gdziekolwiek się wkradnie.

Pod wszystkiemi temi względami daleko jeszcze narodowi naszemu do poziomu demokracji oświeconej. Nic dziwnego. Polska rozebrana została w chwili, gdy zaczęła się odradzać. Masy narodu pogrążone były w ciemnocie i niewoli społecznej. Ucisk obcy tamował wszelkie próby reform i odrodzenia; starał się balsamować wady dawne, aby nie dać narodowi możności wzmożenia sił; do wad dawnych przybywały przywary nowe, nieodłączne od niewoli. Po odzyskaniu niepodległości, przed narodem stanęły olbrzymie zadania, budowa państwa postępuje gorączkowo i, jeśli uwzględnić konieczność improwizowania na każdem

polu, to owa Polska, tak okrzyczana za anarchiczną, osiągnęła już ogromne rezultaty. Lecz cóż dziwnego, iż oddawna niekarczowane wady wypływają dziś na powierzchnię! Niektóre z nich tak dziś wybujały, że zdziwiony ich rozwielmożnieniem ogół przypisuje ich pochodzenie wojnie. Jest to tylko w części prawda. Czyż tak rozplenione dziś paskarstwo poczęło się dopiero w czasie wojny? Jako dążność i zdolność istniało ono i dawniej, nie miało tylko tak pomyślnych warunków do rozkwitu. Dzieje paskarstwa w Polce miały swą przedhistorję, byli i przed wojną u nas liczni przedpaskarze, prerafaelici paskarstwa, wojna otworzyła przed nimi szerokie pole działania.

Brak czynnego życia obywatelskiego przed wojną i bacznie strzeżona przez obcych najeźdźców ciemnota mas musiały wytworzyć objawy chorobliwe. Warstwa zwierzchnia, uważająca siebie za wyborową, w braku czynnej, jawnej służby publicznej tonęła w teorji, we wspomnieniach, w nadziejach; gdy otworzyło się pole działania, ci patrjoci żarliwi, egzaltowani nie zawsze umieją przystosować się do szorstkiej, surowej rzeczywistości. Szare masy, ubogo uposażone w oświatę i kulturę, odsunięte tem więcej od czynnego obywatelstwa, grzęzły w materjalizmie, zmysłowości i poziomem filisterstwie. Rządy stuletnie okupantów, oparte na terrorze i korupcji, obniżyły poziom moralny i umysłowy. W pierwszych okresach po odzyskaniu niepodległości rozpleniać się zaczęło niesumienne, czasami na wysokich stanowiskach uprawiane, pochlebstwo, roztaczane względem analfabetów, których należało kształcić i uobywatelać, a nie odurzać czadem komplimentów. Prawdziwa demokracja nie znosi tych trywjalnych kadzideł, na ich dnie spoczywa zawsze lekceważenie ludu, przypisywanie mu zupełnego nierozumu i nadzieja schwytania duszy ludowej na przynętę grubego pochlebstwa. Po pewnym czasie te deklamacje o piastowej mądrości ludzi, nie mogących jeszcze ogarnąć niewyszkolonym umysłem zadań narodu, obudziły niesmak, który jest pierwszym objawem ktytycyzmu, świadczącym o zrozumieniu braków i zwiastującym dążenie do ich usunięcia.

Demokracja w Polsce ma przeciwników z dwóch stron. Z jednej strony zagląda do nas bolszewictwo, choroba wschodnia, dziecko tyranji wieków, wytwór caratu, ciąg dalszy gwałtu nad człowiekiem, nad wolnością, w imię obłudnie głoszonego lub opacznie, po barbarzyńsku wcielanego hasła równości. Nigdy może jeszcze nie znały wieki tragiczniejszego kontrastu między głoszonym ideałem a krwawą, okrutną rzeczywistością. Chcąc sądzić bolszewictwo miarą pięknych haseł, jakich ono używa, należałoby usprawiedliwić inkwizycję, która się przykrywała imieniem Boskiem, pochwalić tyranię Iwana Groźnego, który, jak chcą niektórzy historycy rosyjscy, spełniał dobroczynną misję jednoczenia Rosji przez tępienie rodów dynastycznych i możnawładczych, zniepráwił duszę narodu moskiewskiego na całe stulecia; żadne pośrednie czy bezpośrednie, polityczne czy socjalne korzyści nie powetują tej strasznej krzywdy, jaką wyrządza tyranja narodowi i ludzkości.

Gdyby bolszewictwo do nas przenieść się miało, skutki stąd dla naszego narodu byłyby straszniejsze, niż dla Rosji. Nietylko pociągnęłoby za sobą niezliczone ofiary w ludziach i dorobku cywilizacyjnym, nietylko pogrążyłoby nas na czas dłuższy w krwawej anarchji, lecz niechybnie przyprawiłoby nas o utratę niepodległości. Nie mamy ani szczęśliwego położenia geograficznego ani niewyczerpanej materjalnej odporności Rosji. Państwo nasze nie przeżyło by pewnie ani roku krwawej anarchji.

Gdyby bolszewictwo wtargnęło było do nas bezzwłocznie po ustąpieniu okupantów, w chwili gdy państwo było zaledwie zawiązkiem, rzec by można, że los srogi zesłał na nas plagę anarchji, zanim zdążyliśmy podnieść się z prochu i nie dopuścił do ocalenia Polski. Lecz gdyby dziś, po półtorarocznym okresie organizacji, po stworzeniu potężnej armji, rozpleniło się u nas bolszewictwo, była by to już własna wina narodu. Było by to dowodem, iż, pomimo rozbrzmiewających bez przerwy alarmów, środki, stosowane przeciwko groźbie, nie odpowiadają celowi. Do środków skutecznych nie może być żadną miarą zaliczona propaganda reakcji politycznej, społecznej, kulturalnej. Jest to rozpaczliwy i bezsilny odruch strachu, leczenie choroby trucizną, która organizm niszczy i czyni zdolnym do przyjęcia wszelkiej choroby. Obawa rewolucji czyni z wielu ludzi ślepych fanatyków kontrrewolucji, oddających się duszą i ciałem każdemu, kto im się wydaje obrońcą przed przewrotem. Uczciwi ludzie stają się nieraz narzędziem w ręku jednostek, które korzystają z szału przestrachu i, jako zbawcy, otrzymują indulgencję na wszelkie grzechy. Wydaje się nieraz, iż gdyby tak gasiciele światła z przed lat stu, Kalasanty Szaniawski, Stanisław Grabowski dziś z grobu powstali, byliby przez wielu przywitani, jako użyteczni obywatele, a Stanisław Kostka Potocki ogłoszony za niebezpiecznego farmazona. W ciemnogrodach przyjmują się najbujniej zarazki bolszewictwa; głoszone być ono może przez fanatyków i przez nieprzyjaciół naszej niepodległości, lecz rozplenić się na dobre i na stałe może tylko w swojskim kołtunie. Demokracja oświecona, wsparta na najlepszych tradycjach naszej przeszłości, a utrzymująca żywy związek z demokracjami Zachodu, stanowi jedyne lekarstwo na bolszewictwo. Jej hasłem będzie: ani Trockij, ani Kalasanty Szaniawski, ani Sowdepja, ani Beocja nad Wisłą.

Streśćmy nasze rozumowania. Polska przez bieg dziejów i warunki geograficzne stworzona jest na to, aby być państwem wielkiem na bliższym Wschodzie Europy, lub uledz zanikowi, z zachowaniem form niezawisłości lub z ich stratą.

Dążenie do wielkości wypływa nie z narodowej *mania grandiosa*, nie z zaborczego impe-

rjalizmu, lecz z samej natury rzeczy, z instynktu samozachowawczego narodu.

Tę wielkość Polska może osiągnąć, wcielając w czyn zasady demokracji na rozległem polu stosunków międzynarodowych, na ściślejszem polu stosunków z ościennymi ludami, a przedewszystkiem w swem życiu wewnętrznem.

Demokracja w Polsce jest przeto nietylko objawem żywiołowego dążenia do ideałów wszechludzkich, lecz i wyrazem instynktu ocalenia.

Problemat demokracji w Polsce to nie pytanie, czy Polska będzie nieco bardziej staroświecka, czy nieco bardziej nowoczesna, bardziej zachowawcza, czy bardziej postępowa, lecz jest to pytanie, czy Polska spełni swą rolę, jako powołany na nowo do życia naród wolny, czy nie. Sprawa demokracji to dla narodu naszego: być albo nie być.

J. BAUDOUIN DE COURTENAY

Nieco pesymizmu wcale nie zawadzi.

(Z powodu Zjazdu nauki polskiej).

II.

Prawdziwą bolączką, doskwierającą do żywego, jest „byt materjalny nauki", t. j., mówiąc po prostu i bez ogródek, byt materjalny uczonych. To też referat na ten temat profesora Jana Czekanowskiego (antropologa ze Lwowa) bardzo wszystkich zainteresował i wywołał ożywioną dyskusję.

Zwracano się z natarczywemi żądaniami do państwa, do społeczeństwa, wyrażano nawet nadzieję, że nasza nowa arystokracja, panowie paskarze, staną się z czasem mecenasami i będą wspierali naukę i uczonych. Zapomniano jednak o samych sobie; zapomniano, że i samym sobie można stawiać słuszne i całkiem uzasadnione żądania.

Ja osobiście należę do tych „uczonych", co od wojny i będącego jej prawowitem dzieckiem przewrotu społecznego najwięcej ucierpieli. W Petersburgu pozbawiono mię prawie całej mojej własności, uważanej obecnie za „przesąd burżuazyjny". Wątpię bardzo, czy ocaleje choć cząstka moich długoletnich zbiorów i moich własnych materjałów naukowych. Skutkiem ogołocenia i oczyszczenia z ciężaru własności, musiałem uciekać się prawie że do żebraniny i doznawać niezbyt przyjemnego uczucia upokorzenia, które zresztą należy dziś również do „przesądów burżuazyjnych". A jednak pomimo tego wszystkiego nie pozwalam sobie szemrać i narzekać. Przeciwnie, uważam to poniekąd za całkiem zasłużoną karę. Dawniej, wyzyskując swe uprzywilejowane stanowisko, korzystało się nad miarę z różnych stypendji, zapomóg, delegacji i t. p. dodatków, związanych z „uczonością". Było się więc do pewnego stopnia darmozjadem i pasorzytem. Nie opływało się wprawdzie w dostatki i musiało się dobrze nadrabiać bokami, ażeby jako tako istnieć. Było się więc i wówczas już „proletarjuszem", ale zawsze proletarjuszem uprzywilejowanym, w stosunku do proletarjuszów w ścisłem znaczeniu tego wyrazu.

Prócz tego, choć ja sam byłem zawsze zdecydowanym przeciwnikiem wszelkiej wojny, wszelkiej rzezi, wszelkich pogromów, wszelkiego rozlewu krwi i niszczenia dobytków kultury, to jednak miałem nieszczęście należeć do cechu „uczonych", a uczeni różnych krajów nietylko przyklaskiwali wojnie, ale nawet zawzięcie do niej nawoływali i przez rozdmuchiwanie uczuć wzajemnej nienawiści międzynarodowej i międzypaństwowej starali się przerabiać gruntownie człowieka współczesnego na barbarzyńcę i bestję, wyładowującą z siebie spotęgowane uczucia zemsty i nienawiści w kierunku już nie międzynarodowym, ale międzyklasowym i międzystanowym. Należąc tedy do sławetnego cechu uczonych podżegaczy i demoralizatorów, muszę ponosić solidarnie konsekwencje ich zbiorowych wystąpień i ich zbrodniczego postępowania.

A i dziś jeszcze rozbrzmiewa w świecie uczonym nuta nienawiści i zemsty, która to wstrętna nuta znalazła sobie między innemi wyraz w utworzeniu Rady Międzynarodowej badań naukowych, ze stanowczem i nieubłaganem wyłączeniem Niemiec i ich sprzymierzeńców.

Pomimo jednak tych wszystkich grzechów i przewinień braci uczonej trzeba przyznać, że jej obecne położenie materjalne jest rozpaczliwe, a dzięki troskom o byt wydajna praca naukowa prawie uniemożliwiona. Żądanie więc polepszenia bytu materjalnego jest usprawiedliwione. Ale zadawalniające rozwiązanie tego zadania jest prawie nie do osiągnięcia. Państwo jest obarczone wydatkami nad siły. Z drugiej strony drożyzna rośnie jak na drożdżach. Wszelka podwyżka wynagrodzenia może wystarczyć tylko na czas krótki. Po pewnym czasie staje się niewystarczającą. Jedynym środ-

kiem zaradczym byłoby wynalezienie jakiegoś przyrządu, któryby automatycznie powiększał wynagrodzenie pracowników, proporcjonalnie do wzrastającej drożyzny, dopóki nie pryśnie rozdymana gorliwie bańka mydlana, jaką, przy stosowaniu podobnej metody, musi się stać młodociana i nieokrzepła jeszcze państwowość polska.

Pretensje, skierowywane do państwa i skarbu polskiego i przez „uczonych" i przez nieuczonych, przypominają niekiedy to okrzyk bandytów *„la bourse ou la vie!"* (portmonetka albo życie!), to znowu kaprysy małych dzieci i zdziecinniałych starców, w czasie głodu i ograniczonych porcji chleba czarnego domagających się montowych bułeczek, cukierków i innych przysmaków. Kiedy głodne dzieci wołają „jeść! jeść!", kraje się serce matki, ale nieszczęśliwa zaradzić temu nie może. W danym wypadku niema matki i niczyje serce krajać się nie będzie; ale pomimo to należy być powściągliwym i pamiętać, że żądania poprawy bytu nie zawsze dają się zaspokoić.

Inter arma silent Musae (podczas wojny milczą nauki i sztuki). O tem powinniśmy pamiętać. Znajdujemy się obecnie nie w stanie „powojennym", ale w stanie jaknajbardziej wojennym. Nic więc dziwnego, że wojsko, jako niezbędne dla obrony kraju, jest stosunkowo najlepiej wynagradzane, i że np. porucznik pobiera więcej, niż profesor uniwersytetu. Porucznik jest potrzebny, a profesor tymczasem tylko tolerowany.

Podobnie poselstwa i ambasady, pochłaniające miljony, a może nawet dziesiątki miljonów, są potrzebne dla reprezentacji, dla podtrzymania splendoru Rzeczypospolitej i dla olśniewania zagranicy, która zresztą nie jest tak naiwna, żeby się nie poznała na farbowanych lisach i nie oceniła tych wysiłków w sposób odpowiedni.

Otóż z tem życiem ponad stan, wbrew przysłowiu „według stawu grobla", powinno zerwać zarówno całe państwo polskie, jako też jego pojedyńczy obywatele, a zwłaszcza „uczeni" i inni „inteligenci". Dopóki budżet państwa nie stanie na trwałych podwalinach, nie wolno brać udziału w Radzie Międzynarodowej badań naukowych. Z drugiej strony należy zredukować do minimum wydatki na mające olśniewać zagranicę misje, ambasady i poselstwa.

Uczeni zaś, na równi z innymi obywatelami, nie zajmującymi się paskarstwem i spekulacją wszelkiego rodzaju, powinni obniżyć skalę życia, nie naśladując zbankrutowanych i zrujnowanych szlachciców i ziemian z komedji Blizińskiego „Rozbitki", którzy ani rusz nie chcieli zapomnieć o przeszłości i po dawnemu starali się pędzić rozkoszne pańskie życie.

Wprawdzie stara piosnka głosi:

Cieszmy się, bracia, nadzieją,
że nam wrócą dawne czasy,
że nam znowu zajaśnieją
karabele, wąsy, pasy;

niestety jednak, ani karabele, ani lite pasy nie wrócą. Pozostaną tylko wąsy, bo do tego wystarczy zaniechać ich golenia.

Nie wrócą też dawne, przedwojenne warunki życia, podobnie jak nie wróci młodość, kiedy się jest starym. Trzeba więc raz na zawsze wyrzec się wszelkich złudzeń i dobrze sobie zapamiętać, że się zostało zdegradowanym do stanowiska parjasów społecznych.

Obniżenie stopy życiowej dokonywa się samo przez się, bo nawet przy najlepszych chęciach i przy zasobnych funduszach nie można żyć tak, jak się żyło przed wojną. Chudopachołkowie zaś, jakimi z konieczności stają się profesorowie i inni uczeni, nie posiądający własnych majątków i nie zajmujący się paskarstwem na wielką skalę, muszą się wyrzec przyjemności przyjęć (*réceptions*); muszą wyrzec się

Głosy z Włoch współczesnych.

CROCE.

W niedawno założonej rzymskiej „La Politica" Benedykt Croce podejmuje się filozoficznej apologji polityki lub raczej tego co w polityce zwykle nazywa się machiawelizmem. Jest to ostatnia faza działalności najwybitniejszego z pewnością z pośród filozoficzno krytycznych umysłów, jakie wydały Włochy schyłku zeszłego stulecia. Croce rozpoczął od krytyki literackiej, przeszedł później do filozofji, nabrał głębokiego, bałwochwalczego nieomal szacunku dla wiedzy i umysłowości germańskiej, nie zauważył ani trochę, że wpływy z północy zabijały jego naturalną lotną, romańską oryginalność, zachował zawsze wdzięczność i uwielbienie dla wzorów, które jak mu się zdawało wpłynęły na pogłębienie i usystematyzowanie jego sposobu myślenia, w czasie wojny z czysto teoretycznych i osobistych przesłanek wyciągnął praktyczne i socjalne wnioski, które kazały mu stanąć na czele niedobitków germanofilskiego obazu i mocno nadwyrężyć swój wieloletni, poważny autorytet narodowej sławy. Dziś korzysta z najwidoczniejszego odrodzenia politycznego giolittianizmu i ofiarowując swe współpracownictwo najpoważniejszemu ideowemu miesięcznemu czasopismu stronnictwa, roztacza przed oczami czytelników bardzo jeszcze barwne, żywe i nawet świetne obrazy swej polityczno-życiowej filozofji.

Ukazało się już w „La Politica" kilka drobnych, starannie wycyzelowanych fragmentów pióra Croce, zatytułowanych „Postille politiche." Można je już dziś pobieżnie zsyntezyzować i wyrobić sobie dzięki nim dostateczne pojęcie o ostatniej, a może i ostatecznej fazie światopoglądu wybitnego pisarza.

W życiu ludzkości widzi Croce bezustanny antagonizm dwuch wręcz sobie przeciwnych pierwiastków... Jednym z nich jest wrodzone człowiekowi zamiłowanie ku lenistwu lub choćby tylko ku chwilowemu, czasowemu wypoczynkowi; drugim—walka nieustająca i nieprzerwana, która

uczęszczania do teatrów i na koncerty, wyjazdów na letnie mieszkania, oraz do uzdrojowisk krajowych i zagranicznych; muszą się wyrzec koszul krochmalonych, zastępując je miękkiemi, najlepiej koloru czarnego, bo na czarnem nie znać brudu; muszą sprowadzić swą garderobę do minimum; muszą z czasem buty zastąpić trepkami lub sandałami drewnianemi; muszą w mieszkaniach obchodzić się bez gabinetów, bez bibljotek; muszą ograniczyć do minimum ogrzewanie mieszkań, szczękając zębami, odmrażając ręce i nogi, siedząc w stanie odrętwienia. Jednem słowem trzeba żyć według możności, a nie tak, jakby się chciało i jak się żyło dawniej.

Oczywiście, przy takich warunkach życia dla pracowników i przedstawicieli nauki musi sama nauka nietylko skurczyć się, ale nawet dojść do ostatecznego upadku. No, ale na to niema rady. Choroba, zdaje się, jest śmiertelna i nic jej nie zażegna. Być może, że dojdziemy do tego, co było w mroku średniowiecza. Nauka mogła była być uprawiana tylko w ciszy klasztornej przez mnichów bez rodziny i bez kłopotów, związanych z życiem rodzinnem. Ale jeszcze pytanie, czy bydlę tryumfujące chwili obecnej pozwoli choćby tylko na taką naukę.

Przecież jesteśmy świadkami najścia barbarzyńców, którego początkiem był początek wojny wszechświatowej, a które obecnie kontynuuje się w wojnach domowych, w „dyktaturze proletarjatu“ i w innych t. p. pocieszających objawach. Właściwie nie jest to najście jakichś szczególnych specjalistów od barbarzyństwa i dzikości, ale wzmożenie się barbarzyństwa i dzikości w nas wszystkich bez wyjątku. Fala barbarzyństwa i dzikości tak wezbrała, że zalewa wszystkie szlachetniejsze popędy duszy ludzkiej.

Ze wszystkich objawów życia psychiczno-socjalnego jedynie tylko dążenie do wiedzy czystej, do nauki teoretycznej odróżnia jakościowo człowieka od bydlęcia. Wszelkie inne różnice są tylko ilościowe. Najwspanialsze wynalazki i przedłużania własnej istoty w świat zewnętrzny znajdują się w stanie zarodkowym u tych lub innych zwierząt. A cechuje je wszystkie utylitaryzm. Ale jedynie tylko człowiek może dążyć do wiedzy jako wiedzy i doznawać rozkoszy od zaspokojenia tej swojej dążności.

Otóż możemy tem spostrzeżeniem dzielić się przy wszelkiej sposobności z ogółem inteligentnym i zachęcać go do wspierania nauki. Będą to jednak usiłowania bezskuteczne i bezowocne. Słuchacze i czytelnicy wzruszą tylko ramionami i spojrzą z politowaniem na dziwaków, głoszących podobne brednie.

Dziś tryumfuje bydlę ludzkie, a bydlęciu, czy to będzie bydlę zwierzęce, czy też ludzkie, nauka czysta, nauka jako nauka jest całkiem niepotrzebna. Co innego nauka stosowana, zwłaszcza jeżeli za pomocą niej uda się podejść, okpić i unicestwić „umiłowanego bliźniego“. W oczach panów położenia i naszych istotnych władców, paskarzy, bandytów, „dyktatorów“ i całego tego mrowia wyzyskiwaczy, nauka jest zbyteczna, a wiec i uczeni są zbyteczni.

Jeżeli chcemy przeciwdziałać ostatecznemu zbydlęceniu ludzkości, jeżeli chcemy ocalić resztki nauki, powinniśmy żądać jak najprędszego zakończenia wojny, która w szybkiem tempie prowadzi do coraz większego upadku ekonomicznego, intelektualnego i moralnego.

Dotychczas wisimy w powietrzu i nie mamy gruntu pod nogami. Rozmowy „akademickie“ i „platoniczne“ *pia desideria* nic tu nie pomogą.

Wobec tego wszystkiego pozwoliłem sobie postawić następujący wniosek.

Zjazd zwraca się do wszystkich uczonych z prośbą o znaczne obniżenie skali życiowej i o pogodzenie się z myślą, że dawne czasy minęły bezpowrotnie i że dziś uczeni, jako uczeni, stanowią z konieczn-

---

stanowi jedyną i wyłączną treść wszechżycia. Polityka jest tej walki, a więc i tego wszechżycia „najpotężniejszym i najwspanialszym przejawem.“ Stąd niechęć, stąd nawet wprost odraza tłumu do polityki. Stąd orzeczenie, że polityka jest rzeczą brudną.

Podobnego rodzaju pojęcia jak „sprawiedliwość społeczna i międzynarodowa, równość, braterstwo, zgoda klas, związki narodów“ są dla pana Croce rzeczami zgoła „pozbawionemi sensu“— prive di senso, — ponieważ przeczą samej istocie i naturze życia; lecz są one drogie sercom tłumów, bo „w braku innego, mają przynajmniej ten sens, że negują walkę i schlebiają we frazesach ideałom próżniactwa“.

Nastrój i pogląd publicznej opinji tłumów przenika z natury rzeczy i do grona polityków — działaczy. Stąd u jednych sprzeczność pomiędzy słowem a czynem, gdy uważają za właściwe przyrzekać tłumom pokój i spoczynek, a równocześnie sami muszą na każdym kroku ulegać żywiołowemu prądowi walki życia. Stąd u innych fałszywe skrupuły i wyrzuty sumienia, gdy czują się w obowiązku i pragną dążyć do ideałów zgody, a konieczność im każe „wypowiadać wojny, chociaż chcą pokoju, zmyślać, choć wielkąby im rozkosz sprawiało przemawiać prosto z serca — robić to, co uważają za złe i niegodne“.

Sposób wyjścia z owej sytuącji można byłoby znaleźć tylko wówczas, gdyby „działacze polityczni nauczyli się filozoficznie na świat zapatrywać, lub gdyby lud mógł przestać rozumować wulgarnie“. Rzecz ta, zdaniem pana Croce, jest zgoła nieosięgalna, tembardziej, że historja posiada już dwa przykłady, które są w stanie odstraszyć najśmielszych od dalszych prób w tym względzie. Jeden przykład — to Macchiavelli, który wzamian za swój racjonalny, filozoficzny na życie i na politykę pogląd, został obniżony i skrzywdzony w opinji pokoleń. Drugi — to naród, którego imienia p. Croce nie wymienia, lecz pozwala się go bardzo łatwo domyśleć, — naród, mający poza sobą świeżą próbę zastosowania metod szczerości w polityce światowej, wzamian za co został on nietylko rozgromiony i zrujnowany, lecz również oplwany i ze czci wyzuty.

ności pod względem materjalnym jedną z niższych klas społecznych.

Być może, iż we wniosku tym zawiera się mimowolna, objektowna ironja, ironja życia i stworzonych przez nie warunków. Ja jednak stawiałem ten wniosek całkiem poważnie, bez najmniejszej ironji.

* * *

Wobec tego, że niektórym kolegjom profesorskim zarzucano przy obsadzaniu katedr kierowanie się względami, nic wspólnego z nauką nie mającemi, niektórzy z uczestników Zjazdu nauki polskiej pragnęli zwrócić na to uwagę i porozumieli się ze mną. Ja zaś podjąłem się sformułowania odpowiedniego wniosku, złożonego do akt zjazdu w ostatnim dniu posiedzeń:

W imię pomyślnego i niczem niekrępowanego rozwoju nauki w Polsce Zjazd uważa za konieczne, ażeby przy obsadzaniu katedr w wyższych uczelniach kierowano się jedynie zasługami naukowemi danej osoby, bez względu na jej pochodzenie, na jej wyznanie, na jej przynależność partyjną.

Wydawało mi się to tak jasne i samo przez się się rozumiejące, że szczegółowe umotywowanie uważałem za zbyteczne. Ograniczyłem się jedynie do dwuch uwag, jednej formalnej, redakcyjnej, drugiej zaś dotyczącej samej istoty rzeczy.

Co do redakcji wniosku, to użyłem świadomie wyrazu „osoby“, który, chociaż rodzaju żeńskiego, jest jednak synonimem „człowieka“ i obejmuje w sobie obie płcie. Nietylko po pracach pani Skłodowskiej—Curie, ale nawet wobec faktu, że w samym zjeździe uczestniczyło kilka wybitnych kobiet uczonych, wyglądało by komicznie, gdybym do wniosku wsadził wyrażenie *„bez względu na płeć“*. Jeżeli jednak ma się do czynienia z językiem, obarczonym chroniczną chorobą rodzajowości, ostrożna redakcja nigdy nie zawadzi.

Co zaś do samej istoty rzeczy, to zdawało mi się, że wobec napaści, skierowanyah pod adresem niektórych uniwersytetów, jest bardzo pożądanem, ażeby zgromadzenie nietylko przedstawicieli różnych wyższych uczelni, ale także uczonych pozauniwersyteckich swym autorytetem zamknęło usta rzekomym oszczercom i napastnikom. Prócz tego uważałem, że podobny wniosek wyjdzie na korzyść i uczonym polskim i Polsce wogóle, zwiększając szacunek dla niej we wszystkich tych zakątkach, do których dojdzie echo naszego zjazdu.

Spodziewałem się, że tak skromny i nie wojowniczy wniosek nie wywoła opozycji. Tymczasem bardzo na mnie ostro napadnięto, widząc w podobnym wniosku zamach na autonomję uniwersytecką i twierdząc, że „panowie z Rosji“ (t. j. niby ja i profesor Petrażycki) nie rozumieją autonomji. Czy autonomję rozumiemy, czy też nie rozumiemy, to już inna sprawa. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że kolegja uniwersyteckie nie mają prawa otaczać się nimbem nieomylności i usuwać się z pod kontroli społecznej. Wyższe zakłady naukowe są utrzymywane przez społeczeństwo, są więc obowiązane pracować dla społeczeństwa. Z drugiej zaś strony nie mają prawa przeobrażać się w koterje, czy to wyznaniowe, czy też partyjne, i przez to samo szkodzić społeczeństwu.

PROJEKT.

Porównanie z dniem nocy jest dwa razy w roku.
Mam projekt, pełen (dla mnie przynajmniej) uroku.
Nie będę go ogłaszał jednak przez plakaty.
A więc: dwa razy na rok biedak i bogaty
Niech się zrównają. To się w kalendarzu zdarza
To dogmat jest. Należy słuchać kalendarza.

Dziś, gdy tryumfują w życiu politycznym anglicy, którzy „dzięki długiemu i systematycznemu w tym kierunku wykształceniu potrafią nawet przed samymi sobą zatajać cele swych czynów“ i francuzi, którzy „ukwiecają swe akty polityczne najbardziej odurzającymi kiściami frazesów o wspaniałomyślności, ludzkości i międzynarodowej sprawiedliwości“,—dziś wyrzec się należy nawet i marzenia o możliwości uregulowania norm walki politycznej podobnie temu, jak to uczyniła rycerskość w stosunku do walk średniowiecza — i patrzeć trzeba z rezygnacją na najbezwzględniejszą i najobficiej hypokryzją przesyconą formą wieczystej, nieodzownej „bellum omnia contra omnes“. I w tymczasowem zakończeniu tak słodkich wywodów włoskiego myśliciela brzmi znowu nuta współczucia dla owego heroicznego narodu, który tak niefortunnie chciał bez obsłobek ukazać światu prawdziwe i jeyne „arcana imperii“, i wraz z którego potęgą zaginął z pewnością ostatni ślad rycerskości w życiu.

FERRERO.

W zupełnie inny świat historjozofji niż ten, który z iście wiwisekcyjnym zamiłowaniem odsłania Benedykt Croce w swych „Fragmentach politycznych,“ wprowadza nas utalentowany młody krytyk, p. Ettore Rota, dający w jednym z ostatnich zeszytów medjolańskiej „Rivista d'Italia“ filozoficzny portret znanego u nas przedewszystkiem jako historyka, autora „Wielkości i upadku Rzymu“, Wilhelma Ferrero.

I tu także spotkamy się z atmosferą uwielbienia i czci dla germańskiej umysłowości, lecz uwielbienie i cześć Wilhelma Ferrero nie będą ani trochę i ani przez chwilę podobne do bałwochwalstwa i entuzjazmu Benedykta Croce, będą ponadto chwilowe, nieco nawet niekompletne i bardzo szybko porzucone.

Ferrero podobnie jak i Croce wyrósł w atmosferze zachwytu nad cywilizacją, której Berlin miał być najjaskrawszym wyrazem. Lecz już w pierwszych odrazu wystąpieniach przyszłego badacza dziejów dekadencji Rzymu uwydatnił się

WOLNA TRYBUNA.

W SPRAWIE FEDERACJI.

Kwestja omawiana w Wolnej Trybunie wysunęła się dziś na czoło zagadnień naszej polityki aktualnej i dobrze jest, że zostanie ona wszechstronnie i rzeczowo oświetlona przez polityków niepartyjnych i nieoficjalnych, a zatem w sposób, który nie angażuje czynników decydujących, w sejmie ani rządzie, ale służyć im może do wszechstronniejszego oświetlenia sprawy tak doniosłej.

W tej myśli proszę i ja również o zamieszczenie poniższych uwag.

Wszelkie związki federacyjne, znane w historji, polegały na wiązaniu się istniejących organizmów państwowych celem zwiększenia się przez ich zjednoczenie. Kantony szwajcarskie czy Stany Ameryki Północnej najprzód konsolidowały się wewnetrznie, a potem dopiero wchodziły w skład misji federacyjnej. Nie inaczej przyszła do skutku Unja Litwy z Polską. Były to dwa państwa, z których każde reprezentowało realną siłę i każde wnosiło do Związku pewien dorobek własny, który przez połączenie zyskał większą rękojmię do jego bezpieczeństwa. Obok plusów bowiem każdy członek federacji przynosi do współki pewne minusy, t. j. swoje kłopoty, z któremi nie może się uporać pozostawiony własnym siłom. Gdyby Litwa nie była zagrożona od wschodu i zachodu, byłaby niewątpliwie wolała zachować swą zupełną samodzielność i nie krępować się związkiem z Polską. Chodzi więc tylko o to, by plusy dla minusów stanowiły dostateczną kompensatę.

Wątpić należy, czy program federacji polsko-białorusko-ukraińskiej wytrzymuje ten rachunek.

Pytanie, co wnosi do federacji Białoruś, jest tak nierealne, że zakrawać może poprostu na żart. Ta „republika“ nie przedstawia żadnej siły, gdyż jest dotąd tylko teoretyczną koncepcją i to z zewnątrz importowaną. Białorusini nie próbowali stworzyć własnego państwa, rządu, ani armji, gdyż to im poprostu nawet na myśl nie przychodziło, póki nie zjawili się wśród nich apostołowie tryjalizmu. Wątpić też należy, czy dla utworzenia i utrzymania państwowości, która bynajmniej nie wyrosła z ich własnej inicjatywy zechcą ponieść ze swej strony jakiekolwiek wysiłki, a bez wysiłków i ofiar żadne państwo istnieć nie może. Czy jest jakakolwiek nadzieja, że ten naród zechce dźwignąć materjalny ciężar stworzenia własnego budżetu państwowego, wystawienia własnym kosztem armji, zaprowadzenia i wyposażenia administracji i t. p. Czy mu na to starczy finansowych i intelektualnych środków. Niemając własnych interesów państwowych, nie przynosi nam też co prawda swoich kłopotów, (politycznego charakteru przynajmniej). I jedne i drugie musielibyśmy dla niego dopiero własnym kosztem stworzyć, na przykład, domagając się zjednoczenia Białorusi, oparcia jej o naturalne etnograficzne granice, i bronić tychże granic lub je wywalczać naszym własnym nakładem i krwi i pieniędzy. Gdyby Polska obecna cierpiała na nadmiar sił poszukujących ujścia, gdyby np. była w położeniu przedwojennej Angji lub Niemiec, takie rozszerzanie sfery jej interesów, jej państwowej ekspansji pod flagą federalizmu mogłoby przedstawiać pewne korzyści. Niestety jednak państwo polskie współczesne nie cierpi jeszcze na na nadmiar kapitałów, ani na nadmiar ludzi, nie upada pod brzemieniem swej hyperprodukcji, dla której miałoby szukać ujścia

---

obok zapału również i pierwiastek objektywnego krytycyzmu.

Po powrocie z długiej amerykańskiej podróży, zaznaczył Ferrero bardzo wyraźny wstręt do „nowych Ewangelji świata, które każą spalać kadzidła na cześć bożków cyfr w świątyniach giełd i rynków“. Wysunął też odrazu, jako swą zasadę naczelną i kierowniczą, ideę umiarkowania i ograniczenia w postępie. Niemcy są dla niego jaskrawym przykładem „skażenia cywilizacji przez rozpasanie rządzącej mniejszości“. Lecz „germanofilstwo“ w szerokiem ideowem słowa znaczeniu podtrzymuje się wciąż jeszcze u początkującego Wilhelma Ferrero. Ludy północy mają w jego pojęciu „inteligencję wyższą, niż ludy południa“ i ponadto „wyższość energji i woli.“ Ideał swój odszuka Ferrero w „ostatniej Tuli“ Germanów, w spokojnym Helsingforsie, Abo, Stokholmie, Chrystjanji, gdzie będzie miał „imponującą wizję nowego świata moralnego, wizję społeczeństwa pracowitego, lecz nie zadyszanego w gorączkowem łaknieniu złota“.

Na podłożu tych fragmentarycznych myśli i koncepcji wyrasta pierwsza większa rzecz Ferrero „Europa Giovane“ (młoda Europa), której konkluzja orzeka, że „drzewem, które symbolizuje, przyszłość ludzkości nie jest magnolja, wydająca nieliczne kwiaty o monstrualnej piękności i okazałości, lecz raczej akacja, gdy z wiosną pokrywa się cała białem spowiciem z nieprzeliczonych miljardów kwiecia“.

Głośny i tak entuzjastycznie we Włoszech przywitany „Militaryzm“ należy jeszcze do tej samej optymistycznej fazy. Lecz już brzmi w nim silna nuta rozdźwięku. Obok radosnych hymnów na cześć coraz to trwalszy grunt zyskującego demokratycznego pacyfizmu przebija trwożna myśl, że może „przeznaczeniem i misją społeczną naszego pokolenia jest dopełnienie wielkiego aktu pokuty i odkupienia (atto d'una grande espiazione)“ i że może będziemy zmuszeni złożyć jeszcze „okropną daninę boleści“.

Te sprzeczności i wątpliwości nasunęły Wilhelmowi Ferrero myśl przestudjowania i zgłębiania całych dziejów rozwoju i upadku poprzedzającej naszą, uniwersalnej cywilizacji świata, — cywili-

nie dokonało własnej konsolidacji wewnętrznej i nie zdołało zakreślić i ubezpieczyć własnych granic. Budowanie cudzego państwa i rozszerzanie cudzych granic jest tedy może przedsięwzięciem conajmniej przedwczesnem, a w każdym razie rozszczepieniem sił i środków, które na eżałoby skoncentrować i wytężyć w kierunku bezpośredniego polskiego interesu państwowego. Nie można zabezpieczyć granic Polski przez obramowanie jej fikcjami lub projektami tworów państwowych. Umieszczona między Białoruską a Ukraińską burzą Polska bynajmniej nie będzie się czuła bezpieczniejsza niż między sąsiadami, choćby nawet wrogimi, ale przedstawiającemi czynnik wymienny i obliczalny. Takim sąsiadom wrogim można przeciwstawić siły i środki, którymi się rozporządza całkowicie, to jest własne; można z nimi zawierać układy obustronnie poręczone, posiadające jakąś egzekutywę. Układy między wrogami nie są bynajmniej anomalją w dziejach, lecz niemal normą, na którą ostatnia wojna dostarcza licznych przykładów. Nie mówiąc o tem, że pierwotnie przymierze litewsko-polskie było także umową między wrogami, do tej samej kategorji zaliczyć trzeba takie współczesne sojusze jak rosyjsko-angielski, rosyjsko-japoński, bułgarsko-turecki, a nawet francusko-angielski.

Natomiast zupełną anomalją jest wszelki układ między istniejącem a projektowanem państwem, naprzykład austrjacko-niemiecki z Ukrainą w Brześciu Litewskim. Olbrzymia przewaga sił po stronie mocarstw istniejących nie była bynajmniej dla tych ostatnich przywilejem, jakby się pozornie przedstawiać mogło. Stawały się one bowiem jedynymi gwarantami i wykonawcami układu, dawały zobowiązania rzeczywiste wzamian za fikcyjne; otrzymywały przyrzeczenia, za które nikt nie odpowiadał i które nikogo nie obowiązywały. Zachodzi obawa czy nie powtarzamy dziś ich błędu, narażając się na wszystkie jego następstwa.

Nikt nie przeczy, że gdyby istniało państwo ukraińskie samoistne, wewnętrznie skonsolidowane i dość silne, by się obronić od wschodu i północy przeciw sąsiadom łakomym na zboże, cukier i węgiel, a chciwym dostępu do Czarnego Morza, gdyby to państwo było nam przyjazne i poręczyło nam bezpieczeństwo naszej południowo-wschodniej granicy, zakreślonej zgodnie z naszym narodowym interesem, układ taki byłby bardzo korzystny. Dotychczas jednak niema żadnych danych dla przypuszczenia, że się na taką Ukrainę zanosi.

Jeżeli Białoruś z własnej inicjatywy ani rządu, ani wojska nie tworzyła, to odwrotnie Ukraina wciąż powoływała do życia nie jeden rząd i armję, ale zawsze kilka różnych i przeciwstawnych równocześnie, co jest może na dalszą przyszłość bardziej obiecujące, ale natomiast na razie stokroć bardziej niebezpieczne. Naraża to bowiem na to, że robiąc układ z jedną Ukrainą, ma się przeciw sobie wszystkie inne, w dodatku z wrogami samodzielności ukraińskiej jako takiej. Wojsko ukraińskie tak mało ma ducha jedności, że w walce z dwoma wrogami, bolszewikami i Denikinem, przechodząc na stronę nieprzyjaciela rozszczepiało się; jedni przystawali do rewolucyjnej, drudzy do kotrrewolucyjnej armji rosyjskiej. Nie jest to zresztą objaw bez precedensów. Onego czasu czynili to samo kozacy poddając się Moskwie i Turkom nie tylko kolejno lecz współcześnie. W polityce nie wolno ignorować takich faktów, nie wolno brać do ręki broni, której charakteru się nie zbadało, gdyż staje się ona zabójczą dlatego, kto się nią posługuje.

Kto i co nam poręcza sprzymierzeńczą wierność tego państwa ukraińskiego, które proklamujemy, tej armji, którą uzbrajamy i prowadzimy na pole walki? Naród ukraiński nie ma obecnie prawomocnego organu do przyjęcia lub odrzucenia zobowiązań Petlury, a przyznanie z góry rozstrzygającego słowa konstytuancie, która ma być zwołana w Kijowie mocą powszechnego głosowania ziem o niedającym się dziś określić kształcie i obszarze, jest puszczeniem całej koncepcji federalistycznej na wielce ryzykowną ukraińską loterję. Istniejąca Konstytuanta polska

---

zacji imperjum rzymskiego. W świetle ostatniego wystąpienia Ferrero na łamach „Revue des Deux Mondes", — wystąpienia zreferowanego już w „Tygodniu Polskim", — studja rzymskie autora „Wielkości i upadku" nabierają swego właściwego znaczenia i zajmują swe właściwe miejsce w całokształcie jego twórczości. Wojna, która zaskoczyła Ferrero jeszcze w chwili kontynuowania rozmyślań nad analogją dwuch światów, przyspieszała i być może do pewnego stopnia wypaczyła rozwój owych medytacji. W bezpośrednio po „Wielkości i upadku Rzymu" opublikowanym djologu filozoficznym „Fra i due mondi", uwydatnia się tylko rozgraniczenie, już bardzo wyraźne i metodyczne, pomiędzy tem, co Ferrero nazywa „rozwojem jakościowym" (sviluppo qualitativo) w postępie, a tem co piętnuje jako „rozwój ilościowy" (sviluppo quantitativo), lecz zdecydowanego pesymizmu jeszcze dostrzedz nie podobna. Innem jest oczywiście ostatnie paryskie jego wystąpienie, w którem poprostu przeprowadzona jest myśl o bezpowrotnej już ruinie całokształtu naszej cywilizacji i naszego społecznopolitycznego ustroju. Zastanawiając się jednak jeszcze przez chwilę nad owym posępnym epilogiem pięknej myśli, zwrócić się godzi uwagę na fakt, że ani na chwilę w żadnej formie swej historjozoficznej koncepcji nie uwzględnił Ferrero należycie czysto duchowej, wewnętrznej strony postępu i cywilizacji a ograniczył się tylko do marzeń o czysto mechanicznem pohamowaniu i unormowaniu jego monstrualno-materjalistycznych rozpasań. Gdy tę ważną okoliczność weźmiemy pod uwagę, może nie wyda nam się tak trwożnem ani zastraszającem powojenne bankructwo myśli Gugleema Ferrero.

BORGESE.

O historjorofię także potrącają wojenne rzeczy profesora Giovanni Antonio Borgese, których ostatnie zbiory ukazały się świeżo w Rzymie i w Medjolanie i wywołały żywe echo w wielu z pośród poważnych czasopism półwyspu.

Dwie myśli ciekawe i oryginalne zasługują na uwagę w tych najnowszych usystematyzowanych już wydaniach, zebranych z częstokroć

dotychczas nie została dopuszczona do głosu w sprawie układu, którego treści dotąd nie zna. Przypuszczać należy, że zostanie ona równouprawniona z konstytuantą ukraińską, boć umowa obchodzi obie strony, a w wyższym nawet stopniu tę, która już dziś na jej rzecz ciężary ponosi i ofiary składa.

Nie zaliczam do ofiar walki, którą prowadzimy przeciw bolszewikom na ukraińskim froncie. Dla uzasadnienia jej nie potrzeba nam uciekać się do koncepcji federalistycznej. Bijemy bolszewików, gdyż oni nas biją. Nie my weszliśmy do ich kraju, lecz oni do naszego. Na początku ubiegłego roku byli jeszcze w Łapach, byli w Grodnie, w Wilnie; odparci na Berezynę próbowali powrotu; na południu nacierali aż na Galicję Wschodnią. Gromić trzeba armję nieprzyjacielską tam, gdzie ona jest. Napoleon spotykał się ze swymi wrogami w Austerlitz, nie przesądzając przytem losu Moraw. Zwycięstwo, rozbrojenie nieprzyjaciela, jest zawsze politycznym zyskiem, a rozbrojenie republiki sowietów może być zyskiem nie tylko dla nas lecz dla całego świata, nie wyłączając Rosji samej. Rolą dyplomacji jest skapitalizowanie zwycięstwa na rzecz interesu państwowego. Takiem bezcennem skapitalizowaniem obecnych sukcesów oręża polskiego dla Polski byłoby zlikwidowanie bolszewickiej potęgi zbrojnej i zakończenie wojny.

Podniesienie sprawy ukraińskiej i przejęcie jej na rachunek Polski może ten cel usunąć w beztermінową przyszłość. Załatwiwszy się z naszymi wrogami, wszczynamy walkę ze wszystkimi zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami tej Ukrainy petlurowskiej, która z nami idzie, obarczamy naszą dzielną armję ciężarem, który może jej sił nie przewyższa, ale je odrzuca od celu, dla którego została wyłącznie powołaną, t. j. obrony granic i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej. Cięższym jeszcze niż fizyczny, będzie jej wysiłek moralny. Lud ukraiński, który wyswobodzamy od bolszewików, dotychczas zajmował się niemal wyłącznie tępieniem żywiołu polskiego na Rusi. Patrjotyzm ukraiński wyładowywał się głównie przeciw Lachom i to było tym jedynym łącznikiem między Ukrainą naddnieprzańską a t. zw. Ukrainą Zachodnią, czyli wschodniogalicyjską. Czy zobowiązania przyjęte względem tego ludu nie skrępują nas w niezbędnej obronie resztek żywiołu polskiego przed obrotną i bezwzględną eksterminacją? Czy rezultat zapoczątkowanego przymierza stanie się dla nas wyłącznie ujemny, nie przeobrazi się w ostateczne zlikwidowanie polskiego stanu posiadania polskiemi rękami.

To są poważne i groźne zagadnienia, nad któremi zastanowić sie warto przed przystąpieniem do realizacji układu pokrytego dotąd mgłą tajemnicy.

Iza Moszczeńska.

DOBROĆ I ZŁOŚĆ.

Ludzie, którzy czynili dobro—takich znałem,—
Którzy robili w przedsięwzięciu doskonałem—
W filantropji—źli byli, chociaż dobroczyńcy.
I znałem ludzi dobrych: byli to złoczyńcy
Od zamachów na carat... Sami przeciw krociom,
Śmierci winni, na śmierć szli pod stryczek... z dobrocią.



wprost świetnych stylem i myślą publicystycznych fragmentów, drukowanych swojego czasu w „Corriere della Sera" i w „Nuova Antologia". Jedna to myśl o bezgraniczności geograficznej zarówno, jak i psychicznej niemieckiego narodu i wynikających stąd nieobliczalnych następstw dla historji cywilizacji świata. Druga — to koncepcja walki pruskiego i austrjackiego ducha w dziejach Germanji. Z braku granic naturalnych dla germańskiej rasy i z analogicznego braku granic w świecie ideowym dla germańskiej psychiki i umysłowości wynika bezustanna konieczność zwalczania Niemców przez wszystkie inne narody świata, lecz wynika także i fakt nieobliczalnej cywilizacyjnej zasługi Niemiec jako wieczystego pierwiastku tego, co prof. Borgese nazywa „elementem entuzjazmu w historji ludzkości i świata". Z antagonizmu dwuch psychik austrjackiej i pruskiej wynika bezustanne wahanie się Niemiec pomiędzy dwoma wręcz przeciwległymi biegunami: pomiędzy biegunem idealistyczno-liberalnego zapału patryjotycznych i wolnościowych uniesień, a biegunem odwrotnym policyjno-absolutystycznego ucisku i gwałtu. Zadziwi zapewne polskich czytelników fakt, że dodatnim biegunem w wahaniach germańskiej psyche są, dla włoskiego myśliciela, Prusy, ujemnym zaś — Austrja. Nie należy jednak zapominać, że rzeczy owe pisane były jeszcze w czasie wojennym i że względy polityczne musiały mieć z natury rzeczy wielki wpływ na sposób myślenia bardzo patryjotycznie nastrojonego profesora Borgese. Gdy weźmiemy pod uwagę, w jaknajszerszem znaczeniu, rolę owego czysto zewnętrznego wpływu w stosunku do intelektualnych, myślowych koncepcji, wyjaśni się nam również z pewnością wiele rzeczy w teorjach Benedykta Croce i będziemy mogli usprawiedliwić i ocenić wiele w rozumowaniach Wilhelma Ferrero.

Lektor.

JERZY KURNATOWSKI

Na północnych kresach.

(Z wycieczki po Mazowszu Pruskiem).

28-go kwietnia rano przed hotelem „Kronprinc" w Olsztynie, gdzie p. Kettel, Kierownik warszawskiej ekspozytury K. M., i ja mieszkaliśmy, stanął automobil Komitetu Mazurskiego. Mieliśmy jechać na wycieczkę. Towarzyszył nam działacz polski z Ełku, p. Fitzerman. W nogach mieliśmy duże paki broszur i odezw do rozdania po drodze. Szybko minęliśmy zadrzewione i pełne kwietników przed domami ulice Olsztyna i pędząc wijącą się, wysadzoną szosą po pagórkach wśród pól i lasów, dobiegliśmy do Biskupca. Biskupiec leży jeszcze na Warmji. Niedawno dokonano tam pogromu polskiego teatru. Stajemy przed domem, gdzie miał miejsce pogrom. Jest to hotel z salą teatralną, zakupiony przez Komitet Warmiński. W chwili naszego przyjazdu toczy się śledztwo. Na werendzie hotelu stoi niemiecka policja, w sieni ustawiono karabin maszynowy. Wychodzę na rynek, gdzie na szyldach odczytuje nazwiska Wischniewski, Roschkowski, Gnatowski i inne równie rdzennie niemieckie. Mimo to wszędzie mówią po niemiecku.

Dobiegamy do pierwszego mazurskiego miasta. Jest toZądzbork. Na bocznej uliczce odnajdujemy dom naszych agitatorów. Zostawiamy im bibułę. Twierdzą, że robota jest trudna. Ludność mówi po polsku, lecz z ducha jest niemiecka. O Polsce nie chce słyszeć. Poprzedniego dnia był wiec niezależnych socjalistów, na którym nawoływano do pozostawienia polakom swobody agitacji. Na ulicy zdążyła się tymczasem zebrać gawiedź, gdy wyruszamy żegna nas urągliwy okrzyk „Polaken" i pomiędzy mnie, a p. Kettla wpada jakaś żelazna śruba. Automobil mknie i nowe wrażenia przerywaja nasz spór, kto właściwie z nas miał mieć zaszczyt „zostać rannym za Ojczyznę".

Jesteśmy w Notisten u pp. Zakrysiów. Pan, pani, dorastająca córka, syn uczeń gimnazjum na wakacjach, nauczyciel domowy polak, służąca polka z Grudziądza, polski północno-kresowy dom. Na wieść, że jesteśmy z Warszawy, wszystkie oczy się rozpromieniają. Wino. Zdrowia. Robi się taka atmosfera, że mamy ochotę wszyscy rzucić się sobie w objęcia. Nauczyciel chwyta naszą bibułę, przegląda, krytykuje, doradza, wykazuje braki. Twierdzi, że i protestatyzm nie jest przeszkodą. Trzeba tylko umiejętnie brać się do protestantów. Gdyby plebiscyt odbył się w końcu 1918 r., wszyscy, protestanci i katolicy, głosowaliby za Polską.

Lec. Tutaj znowu na rynku czytam szyldy: Orlowitz, Jastchemsbski, Gorny.

W Łęckim powiecie jest kilkunastu obywateli polaków: Kamińscy, Czarnieccy, Szukalscy i inni. Przybyli przeważnie z Prus Zachodnich. W końcu 1918 roku stworzyli Rady Ludowe i byliby pociągnęli całą ludność za Polską.

Teraz niemcy się zorjentowali, agitują strasznie, grożą, zgrytają zębami. Tchórzliwsi wyprzedają majątki i uciekają.

Swiatła w dolinie. Domy. Ulica. Ełk. Stajemy przed jakąś oświetloną winiarnią: jedyny lokal, gdzie przyjmują polaków, jak nas objaśnia p. F. W Ełku jest około czterystu rdzennych polaków, nie licząc mazurów. Ełk jest stolicą Wschodniego Mazowsza. Ładnie zadrzewione miasto. Ma około 15,000 mieszkańców. Dla uświadomienia polsko-protestanckiej ludności prawie nic tu nie zrobiono. P. Fitzerman wyciąga numery miejscowej „Lyckauer Zeitung", która w szeregu artykułów pod wspólnym tytułem „Fitzerman et Comp." dość przejrzyście nawoływała do rozgromienia domu i fabryki jedynego działacza polskiego w mieście. Idziemy spać. Rano przy śniadaniu słychać muzykę wojskową. Idą włosi na mustrę. Włosi są w bardzo złych stosunkach z niemcami, polakom ostentacyjnie sprzyjają i dopomagają. Tuż za tartakiem p. Fitzermana zaczynają się wielkie lasy, a obok nich Kurhaus Sybba i kąpiele w jeziorze. Pokój z utrzymaniem kosztuje 30 Mk. Czemuż tu się nie zaroi od warszawskich letników? Bać się niema czego. P. Fitzerman był sam jeden i nie uląkł się, a teraz, gdy Ełk jest pod okupacją włoską, tymbardziej niema powodu do strachu, a zrobić można dużo, nawet nie wiele robiąc, tylko nie wstydząc się swej polskości. Jedziemy do agitatorów. Są wystraszeni. Twierdzą, że zdobyli nieco sympatyków, lecz cichych, takich, którzy będą głosować za Polską, ale tymczasem nie chcą się narażać.

Ełk jest do zdobycia. Z tem wrażeniem wyruszamy w płaski kraj, wilgotny, jaskrawo-zielony. Kraj jezior, olch i świerków. Zaczyna padać zimny deszcz. Stajemy przed karczmą. W karczmie pełno chłopów. Rozmawiamy z nimi po polsku. Nieco rozgrzani wychodzimy, a tymczasem motor napił się deszczu i nie chce brać. Szofer walczy z nim, my zaś w dalszym ciągu rozmawiamy z chłopami. W rozmowę wkradają się jakieś ostre tony. Niebacznie robię uwagę, że — jeżeli motor nie ruszy — zostanę tutaj, w Drygałach (Drigallen), tak się bowiam wieś nazywa. Na to jakiś spokojny, ale syczący nienawiścią głos odpowiada: A co tu po was? Tyle, co po psie w kościele. Mój towarzysz ripostuje: nie prawda, gość w dom Bóg w dom. P. Kania zaczyna tłumaczyć chłopom, że oni są polacy, bo mówią po polsku i ich matki również mówiły po polsku. Na to niespodziewanie wyskakuje jakaś figura z biczykiem i krzyczy wymachując: „Ja ta jezd, jak ta... Ich bin ein echt dajcier Mann..." Na szczęście motor zdecydował się ruszyć, bo jeszcze sekunda, a bylibyśmy wszyscy dostali tym biczyczyskiem.

Pogardliwe „Polaken" doleciało do nas po przez szum już rozpędzonego samochodu.

W mig przez Białą, gdzie nas jakiś polski chłopczyk przeprowadza przez kręte uliczki miasteczka, dobiegamy do Jansborga. Na szyldach pełno Podbielskich. Miasto Podbielskich. Odnajdujemy dom

agitatorów. Wprowadzają się dopiero. Dawni posiadacze mieszkania niechętnie się usuwają. Jedziemy do restauracji, do jedynej restauracji w mieście, gdzie Polakom dają jeść. Obok samochodu już zdążyła się zebrać kupa dzieciaków, które mruczą drwiąco „Polaken“. Przychodzi miejscowy kierownik powiatowy, nazywa się Chęciński. Opowiada, że pierwszą noc spędził na dworcu, bo nigdzie nie chciano go wpuścić. Następne przenocował na zestawionych krzesłach w restauracji, lecz musiał późno przychodzić, gdy restaurację zamykano i wczesnym rankiem opuszczać ją. Teraz mają mieszkanie. Błaga o wskazówki, o bibułę. Odczuwa już, że tu nie można mówić o Polsce, lecz o autonomji Mazowsza pod berłem polskim, nie o polskim języku, lecz o dwujęzyczności, a z protestantyzmem trzeba się obchodzić jak z miękim jajkiem. Sympatyków już ma, ale cichych i skrytych. Twierdzi, że z tymi zamkniętymi w sobie ludźmi daleko więcej można zrobić drukiem, niż słowem.

W Szczytnie nareszcie spotykamy polską inteligencję miejscową. Café Germania. Państwo Zawiślewscy. Zrobili majątek nad Renem na warsztatach mechanicznych, i wrócili do Szczytna. Zarządzają hotelem zakupionym przez komitet mazurski. Dzielnie przeciwstawiają się Niemcom, znosząc tysięczne przykrości. Niezliczoną ilość razy mieli ich zabić, podpalić. Nic im się nie stało. Robią swoje. Więcej druku, prasy, umiejętnych agitatorów, a Mazury będą nasze, muszą być nasze — wołają w jeden głos oboje ci ludzie, a w każdym ich słowie i geście czuć skupioną, żelazną energję, która przed niczem się nie cofa. Wchodzi p. Kazimierz Jaroszyk, redaktor „Mazura“. Szczupły, wątły, wychudzony. Patrzę na niego z podziwem. Teraz rozumiem, co to znaczy przez 15 lat wydawać polskie pismo na Mazowszu. Rozmawiamy, Redaktor jest przygnębiony. Jego „Mazur“ wychodzi zaledwie 3 razy na tydzień, na jednej kartce. Trzeba rozszerzyć pismo do 4 stronnic na dzień. Cóż? Kiedy brak papieru, drukarnia za mała. A nie wiadomo, czy i współpracownicy by się znaleźli. Wreszcie on sam ma 1500 marek miesięcznie, sześcioro dzieci, nie może ich wysłać do Polski, musi znosić, jak mu je poniewierają i niemczą w miejscowych szkołach. Łza kręci się w oku tego zacnego człowieka...

Nie mogę słuchać. Pasja mnie porywa. Więc Polska niema pieniędzy na pismo polskie w Szczytnie pod Mławą? Niema pieniędzy na to, żeby dzieci człowieka, który w tak strasznych i dziwacznie skomplikowanych warunkach siał ziarno polskości przez tyle lat, mogły się po polsku wychowywać? Niema dość inteligencji na to, aby pismo trafiło nareszcie do uczuć tego ludu i przekształciło tę po polsku mówiącą niemiecką Wandeję w zwyczajne chłopskie polsko-protestanckie Mazowsze?

Wypytuję o stosunki. Chłopi są zorganizowani przez urzędników, pastorów i nauczycieli w Heimats Vereiny, gdzie ich poją ekstraktem trucizny prusko-monarchicznego szowinizmu. Żadnych kółek rolniczych, żadnych spółek, żadnych kooperatyw niema. Nawet pod względem ekonomicznym ten lud nie przejawia żadnej samodzielności. Opozycja chłopska jest tylko jedna: religijna, t. zw. „gromadki“, nabożeństwa domowe bez pastorów, na tle purytanizmu obyczajów, antyalkoholizmu, niepalenia, doszukiwania prawdy religijnej. Tu polskość językowa utrzymuje się w całej czystości. I stąd, z gromadek polskość wśród chłopstwa tylko może się rozszerzać. Innego punktu wyjścia niema. Czy zrozumieliście niesłychaną psychiczną trudność zagadnienia?

Wśród robotników miejskich i wśród robotników rolnych i leśnych, których masę jest w tym kraju borów i latyfundji, jest i inna opozycja: niezależna partja socjalistyczna. Ponieważ ich język, język ich ojców i dziadów, jest zakazany i maltretowany, oni go tembardziej szanują. Są zasadniczo przeciwni hamowaniu wszelkiej, a więc i polskiej propagandy. Zostawiają swoim członkom w kwestji plebiscytu wolną rękę. Wśród niektórych kiełkuje myśl potrzeby oddania Mazowsza Polsce, aby pozbawić Niemcy jednego z głównych ośrodków reakcji. Żądają autonomji Mazowsza, dwujęzyczności, równouprawnienia protestantyzmu. Słowem, aby zdobyć ten kraj, polskość musi wykrzesać z siebie niesłychanie trudne i kulturalne pierwiastki, na których tu musi się oprzeć propaganda: a więc protestancki purytanizm, chłopską samodzielność ekonomiczną, wolnościowe ogólno-ludzkie hasła, z zabarwieniem socjalistycznym. Muszę dodać, że ten mazurski socjalizm wcale nie jest zbytnio rewolucyjny. Nie należy go się więc obawiać. Polskość na Mazury może wkroczyć tylko jako synonim postępu, pod każdym względem i — że tak powiem — w najlepszym gatunku.

Kierownik komitetu mazurskiego to zrozumiał: zrozumiał, iż punktem wyjścia polskości na Mazowszu są gromadki i niezależni socjaliści. W tym kierunku prowadzi akcję. Oby zdołał się uporać z trudnościami doboru personelu i wewnętrznej organizacji. Czas jeszcze jest. Plebiscyt ma być odłożony do końca roku, a przed akcją zorganizowanych band niemieckich ma nas bronić mieszana polsko-niemiecka policja. Akcji rządowej winna też przyjść z pomocą akcja społeczna.

Jerzy Kurnatowski.

Sprawy teatralne.

„Pułaski w Ameryce", sztuka w 5 aktach A. Nowaczyńskiego, wystawiona w Teatrze Polskim 7 b. m. — „Czarodziejka", krotochwila w 3 aktach A. Fijałkowskiego, wystawiona w Bagateli 9 b. m.

Powodzenie sztuk historycznych zależy od jednej tajemnicy. Tajemnicy, jak to jest przeważnie z wszystkiemi tajemnicami, dość powszechnie znanej. Oto muszą one trafiać do sentymentu widza-słuchacza. Do sentymentu. Nie do serca. Po pierwsze dlatego, że niewiele osób z publiczności ma serce wogóle. A po wtóre dlatego, że serce to zbyt wielkie słowo. Jest ono w teatrze poprostu za ciężkim rekwizytem. Tak, jak prawdziwy fortepian. Zastępuje go z doskonałą wygodą dla wszystkich pudło, i lekkie pudło z malowanymi klawiszami. Po nich przebiera palcami aktor, gdy za kulisami gra ktoś naprawdę. Ale my odbieramy wrażenie, że to aktor gra.

I tak wracamy do sentymentu który tę samą rolę spełnia na widowni. Jest wystarczającą do złudzenia imitacją serca.

Błąd się jednak popełnia przypuszczając, że ten sentyment można poruszyć najskuteczniej za pomocą ukazania wielkich postaci historycznych. Że wystarczy wprowadzić na scenę Kościuszkę pod ramię z Madalińskim, a odniosą na publiczności takie zwycięstwo, jak ongi pod Racławicami. Przeciwnie, wielcy ludzie wnoszą na scenę nastrój uroczyście nudny — tak samo jak na rauty i fajfy. Wyjątek stanowi Napoleon, ale właśnie dlatego, że jest *sans gêne* i że przedstawiony jest najczęściej w szlafroku życiowym. Sztuka, w której Napoleon prowadziłby tylko bitwy i dyktował ustawy dla krajów podbitych, czy nawet dla komedji francuskiej, byłaby ekstraktem nudy.

Z polskich historycznych sztuk w sentyment publiczności, i bodaj może głębiej, trafił z pełnym sukcesem jedynie Anczyc w „Kościuszce pod Racławicami", ale przypomnijmy sobie, że właśnie w tej sztuce Kościuszko bardzo się szanuje i nie włóczy się wciąż po scenie z coraz nowemi tyradami.

Inaczej poczyna sobie Pułaski Nowaczyńskiego. Nie schodzi niemal ze sceny — jak Napoleon — i wciąż jest bohaterem. I to bohaterem w tendencyjnym naświetleniu Nowaczyńskiego. Herosem romantyczno-pozytywnym, entuzjastą, który równocześnie przepoił się wszystkimi arkanami historycznej szkoły krakowskiej i prorokiem publicystyki z przed półtora wieku, uprawianej przez Nowaczyńskiego obecnie. Jednem słowem jest w oczach autora doskonałością, mającą i tę świetną orjentację polityczną, że Ameryka za 150 lat odpłaci Polsce jego czyny wojenne i zasługi.

Tego wszystkiego, jak na jednego bohatera, stanowczo za dużo. To też tych pięciu korespondencji Nowaczyńskiego z Ameryki XVIII wieku, przeznaczonych na wstępne artykuły dla niewychodzącego dziennika, słuchało się z pewnem zmęczeniem, dziękując reżyserowi, że tylko tyle z trzystustronnicowej książki zostawił. I tej sztywności i sztuczności nie przełamał malowniczy język Nowaczyńskiego, żywy, groteskowy, gwałtowny.

Nie pomógł do sukcesu i włóczący się przy Pułaskim cały orszak historycznych postaci od Beniowskiego począwszy a skończywszy na samym Waszyngtonie. Rozpętywał on tylko gadulstwo Pułaskiego, był tym chórem greckim wobec którego zwierza się monologujący bohater. Chwilami zwyciężała wprawdzie ta lub owa fantazyjna scena, zapalając się iskrą talentu Nowaczyńskiego, ale gasła niebawem w zbyt widocznej tendencji autora jak w wartkim potoku.

Awanturnik, hałaburda konfederacki Chotkowski, lekkoduch, rozflirtowany chłystek Zieliński, poetyczny cygan polski Beniowski, siostry polskie i t. d. i t. d. to wszystko niechcącemu nawet widzieć włazi w oczy jako bądź przeciwstawienia idealnego typu Polaka, jaki w Pułaskim kreśli autor, bądź jako temat do wskazania na tę lub na inną zaletę czy wadę naszego charakteru narodowego.

Z tymi manekinami autora i bohaterem, stąpającym wedle wszelkich reguł baletu heroicznego a la Nowaczyński, publiczność zżyć się nie mogła a brawa— te spontaniczne a nie specjalną życzliwością kierowane—biła na pochwałę aktorom i dyrekcji teatru za staranne, wystawienie sztuki, zwłaszcza za akt II.

Staranność jednak nie była także udziałem wszystkich artystów: niektórych, i to odpowiedzialnych artystów sufler w pocie czoła ciągnąć musiał za język.

Uznanie bez zastrzeżeń należy się jedynie p. Leszczyńskiemu, który Pułaskiego odtworzył z taką wiernością maski, z takim polotem i szlachetną brawurą, że były momenty w których przezwyciężał autora i dawał człowieka, budził wzruszenie.

Natomiast niedopuszczalną jest rzeczą powierzać tak cudnie w naszej wyobraźni zapisaną postać Beniowskiego p. Strachockiemu, aktorowi jeszcze młodemu, niedoświadczonemu i co kardynalne, nie mającemu ani cienia bodaj jednego warunku na odtworzenie tej postaci.

Również i Waszyngtona nie można sobie wyobrażać, jako przebranego w generalski mundur p. Neubelta.

* * *

Sprawozdanie o „Fantazym" Słowackiego, jakkolwiek wystawionym bezpośrednio po „Pułaskim" odkładam do następnego numeru, gdyż wymaga obszernego omówienia i osobnego, honorowego miejsca, a przejdę do „Czarodziejki" Fijałkowskiego, wystawionej w Bagateli.

Otóż właśnie to czego brak głębszemu, wszechstronniejszemu, bogatszemu i oryginalniejszemu talentowi Nowaczyńskiego—ma Fijał-

kowski. Umie — a raczej ma to w instynkcie, w krwi—trafiać w sentyment publiczności. Cóż że treść „Czarodziejki“ nikła jest, mało pomysłowa, o szczupłej, logicznie bardzo wątłej fabule. Nieomal libreto do operetki, tylko bez ekstrawagancji operetkowych. I cóż złego, że po stacie same są konwencjonalne a djalog ich banalny. Jednakże są przynajmniej role dla aktorów, jeśli nie ludzie malowani mocno czy subtelnie. I jest ten pewien nieokreślony wdzięk, powab, nawet urok rozkwitujących uczuć i humor bez troski, troszkę za jowialny a czasem za płaski, ale pogodny, i jest wreszcie łatwa, dość zręczna faktura, która podtrzymuje akcję i zainteresowanie widza.

Bagatela, co prawda nie bardzo się nadaje jako budynek i nastrój do lekkiej komedji, krotochwili spokojnej a nie jaskrawej, ale mimo pewnych usterków i mimo zasadniczego braku nadania sztuce tempa przez reżyserję, która wogóle zdaje się była nieobecną nawet przy urządzaniu wprost okropnych wnętrz, sztuka zyskała sukces dzięki przedewszystkiem koncertowej grze Fertnera. Artysta to z bożej łaski, o takiem poczuciu dowcipu, jak niema drugiego w Polsce aktora. *Vis comica* Fertnera, jakkolwiek żywiołowa, opiera się jednak i na pracowitości w urabianiu roli, pracowitości z której bez wyjątku wszyscy warszawscy artyści przykład braćby powinni. Przykład niezrównany.

I gdyby nie dawny poziom farsy warszawskiej, nie żądanie publiczności i kierowników szarży od aktora, czyli gdyby Fertner chciał uszlachetnić o jeden ton swoją grę, zapisałby się w złotą księgę największych artystów scenicznych polskich — a nie tylko najweselszych i najświetniej utalentowanych. Grze Fertnera, przy sposobności lub może gdzieindziej, poświęcę osobne studjum, tu tylko podkreślam, że jego Feinman w „Czarodziejce“ był kreacją stonowaną, opanowaną i wycieniowaną niezmiernie subtelnie nie farsowo a komedjowo.

Podchwycił znakomicie ton sztuki i intencje autora — dał grę pogodną, jowialną, kolorystyczną i plastyczną, ale utrzymał się akuratnie w typie człowieka, w jego wieku, stanowisku społecznem, w rasowych właściwościach i wybrnął nadzwyczajnie z trudnej kolizji między pewną antypatycznością postaci i pewną jej sympatycznością.

Oklaskiwano Fertnera owacyjnie, a wraz z nim wyborną aktorkę półcharakterystyczną, jaką jest Żarzycka — oraz przemiłą pełną wdzięku, prostoty i czaru swobodnej naturalności p. Belinę, która w ostatnim roku swej scenicznej działalności posunęła się w swej karjerze artystycznej ogromnie naprzód i liczy się dziś już niezawodnie do wybitniejszych sił naszej sceny, do artystek t. zw. atrakcyjnych. Z innych grających wymienić należy b. starannego p. Macherskiego. Grający główną rolę męską w sztuce p. Staszewski jest artystą o niewątpliwych aspiracjach i dużej sumienności, ale jeszcze zbyt surowym. Potrzebuje jeszcze nietylko szlifu, lecz pracy od podstaw nad emisją głosu, dykcją i opanowania nieskoordynowanych ruchów. Praca i reżyser dobry mogą z p. Staszewskiego zrobić siłę pożyteczną i dobrą.

Adam Zagórski.

Na widowni.

Święcone naszych żołnierzy i inne piękne a pouczające rzeczy.

Polski Biały Krzyż opiekuje się naszymi żołnierzami, walczącymi dziś tak wspaniale w obronie ojczyzny na dalekim, krwawym froncie. W Warszawie organizują się, chyba dość często, patrjotyczne gorliwe kwesty. Organizowano także — pamiętają to chyba wszyscy jaknajlepiej—kwestę na święcone dla Obrońców naszej ziemi. Kwesta owa była z pewnością najbardziej uroczystą ze wszystkich, jakie mieliśmy sposobność widzieć w ostatnich czasach. Zapewne również i zebrano co-nieco...

Najwidoczniej,—skoro otrzymujemy dzisiaj wiązankę ciekawych wiadomości, pochodzących bezpośrednio z frontu i stwierdzających wymownie, że, przynajmniej w miejscu, o którym mowa, żołnierze otrzymali choć nie całe święcone, to w każdym razie pewną jego cząstkę. Reszta może jeszcze czeka, może jedzie, może nawet i dojedzie...

Rzecz działa się w jednym z polowych szpitalów południowego frontu. Żołnierze otrzymali swe „święcone“ w trzeci dzień świąt. Składało się ono z jednej bułki i dwóch jajek na osobę. Podobno litościwe panie, rozdające owe „święcone“, otrzymały jajka z powrotem. Nie trudno domyśleć się w jaki sposób...

Tegoż samego dnia do tego samego szpitala przybyli członkowie amerykańskiej YMKA (Young Man Cristian Association) i rozdali tym samym polskim żołnierzom, którzy uprzednio polskim paniom ich polskie jajka tak energicznie zmuszeni byli zwrócić, nietylko jajka, ale wraz z nimi i cały szereg innych podarków, wartości conajmniej kilkuset marek. Wśród podarków znajdowały się: komplety do golenia, do pisania, do szycia, do palenia, książki, papierosy, czekolada, słodkie biszkopty itd.

Podarki amerykańskie żołnierzom doręczyli członkowie amerykańskiej instytucji, lecz oficerom w tymże samym szpitalu doręczył je polski Biały Krzyż. I wówczas skład ich przedstawiał się jak następuje: dwie lub trzy broszurki angielskie (Counan-Doyl lub Kipling), ołówek, 2 arkusiki papier-

i... cztery agrafki. Reszta znowuż gdzieś się zapóźniła...

Zresztą zapóźnia się nietylko święcone. Zapóźniają się widocznie, między innemi, również i siostry miłosierdzia, skoro rekrutować je trzeba pośpiesznie z pośród miejscowych litwaczek i bolszewiczek. Co — poza propagandą antynarodową — podobnego rodzaju pielęgniarki przynoszą ze sobą do szpitala — opowiadać już naturalnie nie będziemy, choć — proszę wierzyć — mówiono nam o tem obszernie.

Nie będziemy już również referować paru innych drobniejszych faktów, z którymi się nam zwierzono.

Przytoczone szczegóły wystarczą chyba tym, których jest to rzeczą, do pobudzenia ich najbardziej choćby leniwej uwagi w kierunku zainteresowania się sprawami podobnego rodzaju. Nam w każdym razie wystarczą one do stokrotnego jeszcze spotęgowania podziwu, jaki mamy dla bohaterów, dokazujących, wśród podobnego rodzaju warunków, cudów męstwa, w walce z nacierającymi na nich ze wszystkich stron, barbarzyńskimi i zdradzieckimi wrogami.

VARIA

Z ruchu wydawniczego.

Kazimierz Kierski: Zdobycz wojenna i pretensje do niej osób prywatnych. Warszawa, 1920. Odbitka z Dziennika Urzędowego Ministerstwa Sprawiedliwości. Cena mk. 2 (wyłącznie koszt druku i papieru.

Pod mianem zdobyczy wojennej autor rozumie wszelki ruchomy majątek, pozostały w kraju naszym po okupantach. Oprócz zapasów ściśle wojskowych, są to olbrzymie składy wszystkiego tego, co okupanci złupili u nas, lecz czego nie zdążyli wywieźć, zaskoczeni wypadkami listopadowemi w 1918 roku, oraz składy towarów i maszyn, szczególnie rolniczych, które sami sprowadzili z Niemiec po zawarciu pokoju brzeskiego, w złudnej nadziei otrzymania za nie surowców rosyjskich.

Składy te przedstawiają obecnie wartość miljardową i należyte zużytkowane nagromadzonych w nich zapasów mogłoby w swoim czasie znakomicie przyczynić się do gospodarczego uporządkowania kraju. Niestety, o ile nam wiadomo, cała gospodarka zdobyczą wojenną nasuwa bardzo smutne refleksje. Przedewszystkiem znaczna część tych składów, pozostawiona bez dozoru, została rozgrabiona przez ludność miejscową. Następnie, zamiast ześrodkować zarząd zdobyczą wojenną w rękach jakiejś jednej odpowiedzialnej instytucji, czynności, związane z tym zarządem, zostały rozproszone po różnych ministerjach i urzędach cywilnych i wojskowych, które w dalszym ciągu prowadzą przez nikogo nie kontrolowaną i pozostawiającą dużo do życzenia gospodarkę. Jeśli dodamy do tego ciągłe scysje między urzędami, przewlekłe i najeżone trudnościami biurokratycznemi załatwianie spraw pilnych, samowolę, nieudolność lub przedajność urzędników, to łatwo pojmiemy, że cały majątek po okupantach, zamiast służyć do podniesienia kraju, marnieje i przepada bez żadnego dla niego pożytku.

Praca radcy Kierskiego jest zatem bardzo aktualna, gdyż w sposób gruntowny, prawnie uzasadniony, daje odpowiedź niemal na wszystkie wątpliwości, nastręczające się przy rozstrzyganiu spraw bardzo zawiłych, dotyczących zdobyczy wojennej. Poglądy p. Kierskiego zostały przyjęte, jako miarodajne, przez nasze urzędy państwowe, w tej liczbie przez ministerjum przemysłu i handlu, co bez wątpienia wpłynie dodatkowo na uporządkowanie stosunków w tej dziedzinie gospodarki państwowej i na ocalenie tego, co się da jeszcze ocalić.

Książki nadesłane do redakcji.

Edward Lipiński: Teorje ekonomiczne Erazma Majewskiego. Odbitka z „Przedświtu". Warszawa 1920, str. 36.

Władysław Ludwik Evert: Spór o życie. Streszczenie większej całości. Warszawa 1920, str. 20.

Stefan Grabiński: Szalony pątnik. Kraków. Nakładem Krakowskiej spółki wydawniczej. Str. 186.

Michał Rostworowski: Liga narodów. (Odczyt wygłoszony w Krakowie dnia 31 stycznia 1920 r.). Kraków 1920. Nakładem Krakowskiej spółki wydawniczej. Str. 40.

Problemy polskiej polityki kresowej. I. Zasady federacji w polskiej polityce kresowej. Napisał Krzewski. Kraków. Nakładem autora. Str. 23.

Problemy polskiej polityki wschodniej: II. Na drodze do rozwiązania sprawy Litwy historycznej. Etapy polskiej myśli politycznej. Napisał J. S. Kraków. Nakładem autora. Str. 37.

Wskrzeszenie Państwa Polskiego: Szkic historyczny. Tom I 1914—1918. Kraków 1920. Nakładem krakowskiej spółki wydawniczej.

Daniel Zgliński: Dekadencja nienawiści polskiej. Zarys psychodziejowy. Warszawa 1919. Skład główny w księgarni Konstantego Treptego. Kredytowa № 16 Cena 1 m. str. 20.

Daniel Zgliński: Dusze zwierząt i ludzi w zarysach. Warszawa 1919. Skład główny w księgarni Konstantego Treptego. Kredytowa № 16, str. 44.

KURSA ROBOTNICZE.

Komitet Organizacyjny Towarzystwa Kultury Ludowej, uruchomia dnia 17 b. m. t. j. w poniedziałek o g. 7-ej wieczorem w lokalu N. Z. R Nowy-Świat 49 m. 3 Naukowe Kursa Robotnicze. Program wykładów obejmuje: Historję starożytną i średniowieczną, Historję Polski, Prawoznawstwo Naukę o państwie, Rewolucję francuską, Konstytucję 3-go maja, Historję nowożytną, Historję ruchu robotniczego. Wykładający: dr. Zakrzewski, dr. L. Skoczylas, prof. Kulczycki, dr. Wł. Evert, dr. Benisz. Komitet organizacyjny: dr. Halban, dr. Evert, prof. Kulczycki, dr. Dagnan. Pierwszy wykład dr. L. Skoczylas Historja Polski.

Cena numeru 6 mk., prenumerata miesięcznie 24 mk., kwart. 70 mk.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 15 mk.

Redakcja: Nowy Świat 22 I p. of. Tel. (tymcz.) 281-88, otwarta od 6—8 wiecz.

Administracja: Biuro dzienników i ogłoszeń Ungra. Wierzbowa 8. Tel. 4-61 (dawny) Otwarta od 10 rano do 7 wieczór.

Redaktor: dr. FELIKS KIERSKI. **Wydawca: ALOJZY WIERZCHLEJSKI.**

DRUKARNIA LITERACKA, Nowy Świat 22.